

grudzień 2019

nr 2

Miłośniku Teatru! Ta gazeta jest tworzona
specjalnie dla Ciebie. Przyjemnego czytania!



CZYSTA FORMA

gazeta teatralna Nowego Teatru im. Witkacego w Słupsku

TEATR ZACZYNA SIĘ OD SZATNI

Pierwszy felieton naszej znakomitej
aktorki Magdaleny Płanety - przeczytasz
go w naszej nowej zakładce „od kulis”.



Nowy Teatr
im. Witkacego
w Słupsku

PASZTETY RUSZĄ DO BOJU NIECO PÓŹNIEJ

Teatr to organizm żywy i wciąż zachodzą w nim dynamiczne zmiany. Tak było i tym razem. Natalia Maczyta-Cokan, w trakcie jednej z prób generalnych do spektaklu „Pasztety, do boju!” uległa nieszczęśliwemu wypadkowi, który uniemożliwił jej udział w premierze i najbliższych, uwzględnionych w repertuarze, spektaklach. **Z uwagi na zaistniałą sytuację, byliśmy zmuszeni odwołać wszystkie przedstawienia ujęte w harmonogramie oprócz premiery**, która została zagrana w warunkach wyjątkowych – Natalię zastąpiła w roli Hakimy, Joanna Kowalska, która jest adaptatorką, dramaturżką i autorką tekstów piosenek w spektaklu. Następne spektakle „Pasztety, do boju!” czekają nas już w styczniu, a dokładnie: 28, 29 i 30 stycznia 2020 na Dużej Scenie NT. Zapraszamy na następne spektakle, a Natalii przesyłamy dobre vibracje, życzymy szybkiego powrotu do zdrowia i wierzymy, że jako silna, wspaniała kobieta, szybko stanie na nogi i zawalczy na scenie z bojowym okrzykiem „Pasztety, do boju!” już niedługo.

ARCHANGIELSK & SŁUPSK

Oficjalna słupska delegacja wyruszyła do Archangielska (miasta partnerskiego Słupska) 19 listopada 2019 roku, aby spędzić kilka mroźnych, ale i niezwykle owocnych dni na północy Rosji. Nasza podróż była pod każdym względem emocjonująca i niezwykle pouczająca. Alicja

Syta (Kierownik literacki NT), Agata Pietruszewska (Specjalista ds. edukacji i promocji NT) oraz Michał Studziński (Kierownik Ośrodka Teatralnego RONDO) wyjechali do Archangielska, aby pokazać działalność słupskich instytucji kultury z jak najlepszej strony oraz przedyskutować dalszą współpracę między miastami partnerskimi. Alicja Syta wygłosiła referat pt. „Język teatru językiem nauczyciela. Wykorzystanie metod teatralnych w edukacji”, Michał Studziński przedstawił monodram pt. „Iwan Karamazow zwraca bilet”, a Agata Pietruszewska była koordynatorem całego wyjazdu i tłumaczem. Mieliśmy również okazję dogłębnie zapoznać się z działalnością kulturalną Archangielska, co znacznie poszerzyło nasze horyzonty i odkryło nowe, niezbadane możliwości na nawiązanie jeszcze głębszych relacji. Dokładna relacja z wyjazdu czeka na Was już na następnych stronach naszej „Czystej Formy”!

PRACA KASY NT W OKRESIE ŚWIĄTECZNYM

Szanowni Państwo, kasa Nowego Teatru będzie **nieczynna w dniach 23-27 grudnia**. Zachęcamy do zakupu biletów oraz biletów podarunkowych najpóźniej do 20 grudnia 2019. Przypominamy, że kasa Teatru czynna jest od poniedziałku do piątku w godzinach 8.00-16.00 oraz dwie godziny przed spektaklem.

Relacja z Archan- gielska

AUTOR ALICJA SYTA

A droga wiedzie w przód i w przód
Choć zaczęła się tuż za progiem –
I w dal przede mną mknie na wschód,
A ja wciąż za nią – tak jak mogę...
Skorymi stopy za nią w ślad –
Aż w szerszą się rozpłynie drogę,
Gdzie strumień licznych dróg już wpadł...
A potem dokąd? – rzec nie mogę.

J.R.R. Tolkien - Władca Pierścieni

Pierwsza moja podróż w ramach pracy w Nowym Teatrze im. Witkacego w Słupsku to było niezapomniane przeżycie. Wybraliśmy się w trójkę – ja, Alicja Syta, Agata Pietruszewska oraz Michał Studziński, na wyprawę do Archangielska, który od lat jest miastem partnerskim Słupska. Zostaliśmy zaproszeni jako oficjalna delegacja, aby zaprezentować wyniki naszych działań i efekty twórczości kulturalnej w Grodzie nad Słupią.

Wszystko zaczęło się 19 listopada, kiedy razem z Agatą, wsiadliśmy do pociągu (wcale nie takiego byle jakiego), aby dostać się do Warszawy. Przystanek w stolicy był bardzo udany – zobaczyłyśmy „Aidę” w Teatrze Roma i, choć sam spektakl nie przypadł nam do gustu, mi udało się z powodzeniem zakochać w odtwórcy głównej roli. Nic też dziwnego – jestem wyjątkowo kochliwa, gdy przychodzi do

bohaterów sceny, czy ekranu. Niestety, szybko mi przechodzi, co prawdopodobnie związane jest z wrodzoną wadą serca – zmiennym rytmem jego pracy i zupełną arytmia. Wada ta nie przeszkadza mi radować się z każdej chwili samolotowych wzlotów (i upadków) – już na drugi dzień mogłam cieszyć się skomplikowanym supłem żołądka, wywołanym odrywaniem się od ziemi i wzlatywaniem w przestworza. Agata niestety nie była równie entuzjastycznie nastawiona do tego typu przygód – nie przepada za powietrznymi okrętami, natomiast Michał śmiał się do rozpuku patrząc na moją nieprzebraną radość i entuzjazm wywołane twardym lądowaniem na oblodzonym pasie lotniska w Archangielsku.

Po fali stresów wywołanych zupełnym zagubieniem podczas przesiadki w Moskwie, a także brakiem pomocy od, wyjątkowo niepomocnej, obsługi lotniska, udało nam się wylądować na północy Rosji, w miejscu, w którym w okolicach lutego można zobaczyć zorzę polarną, i w którym na obiad podają mięso renifera (nie skorzystałam z tej niekuszącej propozycji, uznawszy, że moja miłość do Rudolfa Czerwononosego nie zardzewiała z biegiem lat praktycznie w ogóle). Kwestia obiadów i kolacji będzie często poruszana przeze mnie w niniejszej relacji, bowiem był to jeden z ważniejszych aspektów naszej podróży.

Na lotnisku przywitał nas śnieg. Jako, że przybyliśmy z Polski, w której śnieg nie jest może zjawiskiem rzadkim, ale na pewno nie jest też zjawiskiem stałym – plucha robi się szybciej, niż jesteśmy w stanie wypowiedzieć słowo „zima”, była to dla nas wielka radość. Dość gruba (jak na nasze standardy) warstwa

śniegu i lód... Z lodem niestety Agatce nie było po drodze, ale o tym później! Oprócz zimowych objawów pogodowych, na lotnisku czekała na nas również Sasza, a właściwie Alexandra Ilatovskaya, która była naszym wspaniałym opiekunem podczas całej delegacji. Innej, tak obowiązkowej i gościnnej, przewodniczki nie mogliśmy sobie wymarzyć! Sasza była z nami zawsze i wszędzie, służąc wyjaśnieniem, dobrą radą i pomocą. Ponadto, to właśnie ona zadbała, byśmy nigdy nie byli głodni, za co jesteśmy jej dozgonnie wdzięczni. Mamy nadzieję odwdziżyć się jej z należytą, gdy odwiedzi Słupsk (podobno stanie się to niedługo, a przynajmniej tak nas zapewniła, co przyjęliśmy z wielką radością). Z uwagi na to, że do Archangielska zawitaliśmy dość późno, jedyne, co udało nam się zobaczyć pierwszego dnia, to bulwar nad brzegiem Dwiny – wszystko inne tonęło w ciemnościach. Jednakże zdążyliśmy się też posilić w jednej z pobliskich restauracji. Z napełnionymi i szczęśliwymi brzuskami (które przez następne cztery dni ni razu nie zaznały pustki, czy niedopieczczenia) położyliśmy się do hotelowych łóżek i z niecierpliwością wyczekiwaliśmy następnego dnia (pełnego wrażeń).

Czy ja właśnie przed chwilą napisałam “pełnego wrażeń”? To spore niedopowiedzenie, za co niezmiennie przepraszam wszystkich czytelników – to się już więcej nie powtórzy. Następnego dnia był jednym z naintensywniejszych w moim życiu (nie licząc ślubu i rozvodu). Zaczęliśmy go od śniadania w hotelu, które nieco mnie rozczarowało i zdziwiło – nigdy nie przestanę zachwycać się nad różnorodnością tradycji i zwyczajów, zwłaszcza, a może i przede wszystkim,

pod względem kulinarnym. Marzenie o jajecznicy na masełku spełzło na niczym, bowiem na śniadanie zaserwowane zostało coś przypominającego fasolkę w sosie pomidorowym, co skojarzyło mi się z fasolką po bretońsku, której nie mam w zwyczaju jadać na śniadanie. Jednakże posiliłam się, co chyba było naistotniejsze. A później, moi drodzy, zaczęło się. Istny, bardzo oficjalny, rajd po całym Archangielsku. Rozpoczęliśmy od konferencji, na której wygłosiłam płomienny referat na temat edukacji teatralnej – nie zamierzam się jednak nad nim rozwodzić z uwagi na szacunek dla czytelników i na wysokie prawdopodobieństwo zanudzenia ich już przy drugim akapicie mego naukowego bełkotu. Ponadto, referat zostanie udostępniony na stronie Nowego Teatru i będziecie mogli w każdej chwili do niego zajrzeć (w tym momencie patrzę na was znacząco, dając wyraźnie do zrozumienia, że i tak nie przejdzie wam to nawet przez myśl – proszę się nie przejmować, ja się nie gniewam). Społeczności kulturalnej Archangielska, moja patetyczna mowa przypadła bardzo do gustu, co ucieszyło nas niezmiennie, bo spotkaliśmy się z bardzo ciepłym przyjęciem. Konferencja była jednak tylko preludium, a następnym przystankiem był Urząd Miasta, w którym spotkaliśmy się z Zastępcami Prezydenta, ich zaczął świąt, Konsulem Generalnym RP w Petersburgu oraz Panią Dyrektorkę Instytutu Polskiego w Petersburgu. Rozmowy przy prostokątnym (okrągłego akurat nie było na stanie) stole, które przeprowadziliśmy, doprowadziły nas do nieco oczywistego, ale i niezwykle ważnego wniosku – współpracę Słupska i Archangielska warto, a nawet trzeba, utrzymać i dbać o nią. Okazuje się, że nasi wscho-

dni przyjaciele są niezwykle otwarci na wszelkie możliwości nawiązania dialogu, nie tylko w aspekcie kulturalnym, ale i oświatowym. Wymiany uczniów mogłyby obu stronom przynieść ogrom korzyści. Rozpoczęliśmy również dyskusję o udziale słupskich teatrów w festiwalu spektakli na podstawie rosyjskiej literatury, który archangielski Teatr Dramatyczny im. Łomonosowa organizuje w maju. Mamy więc nadzieję na kontynuowanie rozmów, ponowną wizytę na północy Rosji oraz zrewanżowanie się podobnym zaproszeniem. Wracając jednak do wizyty w Urzędzie Miasta – ci, którzy mieli okazję obejrzeć relację telewizyjną (pojawiliśmy się na głównej rosyjskiej stacji informacyjnej), zauważyli pewnie wyraz skupienia i powagi na mojej twarzy. Niech was to jednak nie zmyli – byłam kompletnie zdezorientowana

fot. Alicja Syta



nie rozumiejąc ani słowa z toczącej się w mojej obecności dyskusji. To, co udało mi się podczas tej podróży zdobyć, to na pewno umiejętność przybierania wyrazu twarzy świadczącego o głębokim zrozumieniu wszystkiego, co się dzieje wokół mnie. Niestety, nie rozumiem rosyjskiego, a wcześniej wspomniany, referat był tłumaczony na bieżąco przez Agatę Pietruszewską – nie był więc pewnie aż tak płomienny, jak mi się wydawało... Byłam jednak wystarczająco świadoma, by wiedzieć, że toczone rozmowy są ważne na tyle, że nawet głowa państwa, która spoglądała na nas ze ściany, wydawała się kiwać, z uznaniem i powagą, na każde, ważniejsze stwierdzenie. Wizyta w Urzędzie zakończyła się uroczystymi uściskami dłoni i godnym wymaszerowaniem w stronę drzwi wyjściowych (cała droga usiana była flagami naszych ojczyzn), by udać się na...

Obiad. Och, ale cóż to był za obiad! Stół aż się ugiął pod ciężarem wszystkich niesamowitych smakołyków. To właśnie wtedy zaproponowano mi mięso renifera, którego grzecznie, acz stanowczo odmówiłam. W zamian dostałam rozpylającego się w ustach dorsza, którego smaku i zapachu do dziś nie sposób zapomnieć. Nigdy nie czułam się tak dopieszczana przez obsługę – kelnerzy lawirowali między nami, woda w moim kieliszku nigdy się nie kończyła, a potrawy przynoszone były zanim zdążyliśmy chociażby pomyśleć o tym, co dobrego tym razem pojawi się na naszych talerzach. W międzyczasie zostałam uroczoko skomplementowana, co spotkało się z odpowiednim rezonansem strun mojej kobiecej próżności. Ta chwila mogłaby trwać wiecznie, jednakże szybko okazało się, że mamy następne obowiązki. Z przeuroczej restauracji, w której nawet muzyka była doskonałym dopełnieniem kulinarnych uniesień, zostaliśmy prędko przetransportowani do Biblioteki Miejskiej w Archangielsku. Tam czekało nas bardzo szczegółowe oprowadzanie, na którym również ćwiczyłam “rozumiejący” wyraz twarzy. Następne atrakcje były już bardziej dla mnie przystępne – zostaliśmy bowiem zabrani do Teatru. Były to następujące po sobie spektakle, z czego jeden – przeznaczony dla dorosłych, stanowiły dwa wygłoszone poematy, drugi natomiast – przeznaczony dla dzieci, był oryginalną mieszanką dźwięku, ruchu i zabawy światłem. Mimo niedopracowanych fabularnie fragmentów (Michał zdecydowanie nie zgodziłby się ze mną, ale to mój tekst), teatr cieni z Petersburga zrobił ogromne wrażenie, szczególnie na najmłodszych widzach, co spotkało się z naszym dużym uznaniem. Niełatwo

skupić uwagę dzieci, tak aby wpatrywały się w scenę niczym zaczarowane (a czarów było tam sporo, bo spektakl był adaptacją sagi o Harrym Potterze). Tym pozytywnym aspektem zakończyliśmy drugi dzień pobytu w Archangielsku.

Zakończyliśmy... Oficjalnie oczywiście, ponieważ nie mogliśmy darować sobie nocnych spacerów po ulicach Archangielska. Znacie pewnie to uczucie, które nie pozwala wam spać, ponieważ tak bardzo szkoda czasu na tak błahę rzecz, jak sen? My poznaliśmy je dogłębnie. W zasadzie codziennie, po oficjalnym dniu, zasiadaliśmy w naszych hotelowych pokojach, by do późnej nocy rozmawiać, omawiać, a później spacerować i przeżywać niesamowite nocne przygody. Ale po kolei! Ta konkretna noc obfitowała w idiotyczne pomysły wchodzenia na oblodzoną rzekę, próby znalezienia jakiegokolwiek miejsca, w którym można byłoby kupić papierosy (ach, ten mój nieznośny nałóg), a także bezustannego popisu baletu w wykonaniu Agaty, która nie potrafiła dobrać odpowiedniego obuwia do warunków pogodowych, przez co parokrotnie prawie zabiła się na pokrytych lodem chodnikach. Jednakże mieliśmy w towarzystwie prawdziwego dżentelmena, który (nawet gdy nawierzchnia była do przyjęcia) wspierał naszą dzielną tłumaczkę silnym, męskim ramieniem. Ach, jeśli by go nie było z nami! Te ścinające krew w żyłach chwile, gdy Agata niepewnie chwiała się na nogach... Nie wiem, co mogłoby się stać!

Dobrze, koniec już tego dramatyizmu. To nie tragedia grecka w trzech aktach z rozbudowanym udziałem chóru, a opowieść o niezwyklej podróży dwójki słupszczan i jednej wrocławianki (ale już prawie słupszczanki).

fot. Alicja Syta



Trzeci dzień zapowiadał się wyjątkowo przyjemnie – pierwszym punktem programu była wizyta w skansenie, w którym nasza przewodniczka (ubrana w przepiękny, tradycyjny, ludowy stój) zapoznała nas z dawną architekturą i zwyczajami. Dla mnie ta wizyta była wyjątkowo pomyślna, ponieważ przepowiedziano mi, że z całą pewnością bogato wyjdę za mąż. Ponadto! Świetnie spiszę się również w roli żony bogatego mężczyzny, ponieważ dobrze radzę sobie z pleceniem lnu – miałam nawet okazję wypróbować swoje nowo odkryte talenty. Odbiliśmy również bardzo przyjemny spacer wśród wspaniałych okoliczności przyrody, choć niekończąca się liczba schodów przyprawiła mnie w pewnym momencie o zawrót głowy – jednakże z całą pewnością muszę stwierdzić, że było warto. Skansen opuściliśmy z postanowieniem wybrania się na suty obiad, w pobliskiej restauracji, która serwowała tradycyjne, rosyjskie potrawy. Tam właśnie po raz pierwszy spróbowałam wątróbki z dorsza, która, wg mnie, była największym

zaskoczeniem kulinarnym tego wyjazdu. Z kolei największym kulturalnym zaskoczeniem była dla mnie nasza następna wizyta. W centrum Archangielska, przy głównej alterii stoi pewien szczególny dom. Na jego progu witają cię postacie w eleganckich dziewiętnastowiecznych strojach, które zapoznają cię z historią, zwyczajami i sposobami na życie, bogatych, archangielskich kupców. Wybijanie szczęśliwych monet wielkim młotem, słuchanie niesamowitej muzyki prawdziwego człowieka renesansu, który gra smyczkiem na wielkiej pile, a także współudział w niezwykłym show, w którym wspólnie tańczymy, śpiewamy, ale przede wszystkim – śmiejemy się do rozpuku, to tylko niewielka część wrażeń, jakich tam doznaliśmy. Późniejsze przemile rozmowy przy wspaniałym pirogu z konfiturą i herbacie o kulturalnym rozwoju Archangielska były dla nas wisienką na torcie. Nie muszę chyba dodawać, że i tego dnia długo nie mogliśmy zasnąć pełni pozytywnych wibracji, jakimi zostaliśmy naładowani przez cały dzień.

Niestety, z uwagi na nasz zupełnie nieodpowiedzialny brak długiego i regenerującego snu, Michała czekało trudne zadanie – czwarty dzień wyprawy był równocześnie dniem jego występu na deskach Teatru Dramatycznego. Choć rozpoczęliśmy go od wizyty w Muzeum Miasta Archangielsk, w trakcie której dowiedzieliśmy się wielu szczegółów o powstaniu, historii i przeznaczeniu miasta (w tamtym momencie doszłam do perfekcji w utrzymywaniu gestem i mimiką, że wszystko rozumiem), mieliśmy wciąż napięte mięśnie ze stresu przed wieczornym występem. Musieliśmy przecież zadbać o każdy szczegół, aby zaprezentować spektakl Teatru Rondo ze Słupska, jak najlepiej! Śmiem twierdzić, że nam się udało. Nie odnieśliśmy takiego sukcesu, gdyby nie przepyszny obiad, który wcześniej pochłonęliśmy... Jednakże zupełnie na poważnie i z pełnym przekonaniem stwierdzam, że monodram „Iwan Karamazow zwraca bilet”, który widziałam po raz pierwszy właśnie w Archangielsku, zrobił ogromne, niezwykle pozytywne wrażenie. Jeszcze długo po spektaklu, siedzieliśmy na widowni i omawialiśmy wrażenia z zachwyconą publicznością. Michała z kolei otoczyła grupa dziewcząt z roziskrzonymi oczyma, co spotkało się z paroma niewybrednymi komentarzami ze strony mojej i Agaty – byliśmy pewne, że na tamtą noc nasz kolega będzie stracony... Tak się jednak nie stało. Wspólnie bowiem wybraliśmy się na przepyszną kolację do restauracji serwującej kuchnię niemiecką, a potem, tradycyjnie już, na nocne przechadzki po mieście na mroźnej północy.

Spacer tamtej nocy był wyjątkowy – udało mi się zobaczyć od środka ruinę starego, drewnianego domu w środku

miasta, dosiąść pięknej, stalowej bestii (chopper), usiąść na kolanach Dziadkowi Mrozowi (nie wiem jednak, czy nie zasłużyłam tym samym na różgę) oraz pozdrowić pomnik Lenina, który, ściskając mocno w dłoni swą czapkę, srogo spoglądał na nas, a na czole pojawił mu się mars. Tak minęła nam ostatnia, szalona, archangielska noc.

Powroty zazwyczaj bywają niesłychanie męczące. Nasz trwał od niedzieli do poniedziałku, co odsypialiśmy jeszcze długo po przekroczeniu progów naszych domów w Słupsku. Jednakże niczego nie żałujemy. Wykorzystaliśmy ten magiczny czas maksymalnie, jak tylko mogliśmy najlepiej i nie możemy doczekać się następnej wizyty. To, co nas zachwyciło, to przede wszystkim niesłychana gościnność, z jaką zostaliśmy przyjęci. Długo będziemy wspominać ten wyjazd, jako jedną z największych przygód naszego życia. Jednocześnie mamy nadzieję na powtórkę i możliwość rewanżu – wszakże i my mamy w Słupsku wiele do pokazania!

■ fot. Michał Studziński



PASZTETY WYRUSZAJĄ W PODRÓŻ

AUTOR ALICJA SYTA

Zaczynają ją na deskach Nowego Teatru w Słupsku, ale kończą daleko nad nami, bo rozwinęły skrzydła i wzniosły się ku gwiazdom, tworząc alternatywną wersję legendy o koniach zaganianych na szczyt skały Solutré. W ich marzycielskiej wersji, wierzchowce zamiast spadać z urwiska i ginąć, zmieniały się w pegazy i wlatywały w przestworza. Metaforyczna perspektywa, ujawniona pod koniec spektaklu, stworzyła finalnie nie tylko komentarz do abstrakcyjnego i ideowego aspektu przedstawienia, ale również do rzeczywistego, najbardziej ludzkiego.

Spektakl został stworzony z myślą o profilaktyce przeciw hejtowi wśród młodzieży. Temat trudny i już wyeksploatowany przez (dla młodych nudną) dydaktykę szkolną. Teatr ma możliwość wnieść odrobinę świeżości do problemu i ukazać go w sposób, który lepiej przemówi do młodych, scyfryzowanych umysłów. Internet i media społecznościowe zawładnęły świadomością nie tylko dzieci, ale i dorosłych i właśnie o tym również powinniśmy pamiętać w kontekście spektaklu. Ponieważ, to nie tylko nasze pociętych popisują się skrajnym brakiem empatii i kultury osobistej w internetowej przestrzeni. My również. Dlatego właśnie „Pasztety, do boju!” to w założeniu spektakl nie tylko dla młodzieży, ale i dla nas, dorosłych – rodziców, nauczycieli, pedagogów, dziadków, dyre-

ktorów... Jednocześnie jest to dobrze przygotowany przegląd sytuacji i zachowań, które powinien przeanalizować każdy rodzic, by mógł dostrzec niepokojące symptomy, zanim będzie za późno.

Lekcje teatralne, które przeprowadzam w ramach edukacyjnej działalności Nowego Teatru, są dla mnie dobrą okazją do przeanalizowania światopoglądów młodzieży. Czasem zostaję po nich z poczuciem bezsilności, ponieważ teatr jawi się dzieciom jako archaizm, szczątki dinozaura z czasów prehistorycznych. Jest to tendencja ogólnoswiatowa, związana głównie z niezwykle dynamicznym zrywem rozwoju cywilizacyjnego na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci. Aktualnie wszystko musi być szybkie, głośnie, przejawiskawione. Nie ma czasu na refleksję. Tego uczymy młodych, bo sami tak żyjemy. Natomiast teatr daje możliwość wybrzmienia ciszy. Zatrzymania się, skupienia, odnalezienia prawdy. Niedoceniany aspekt, a przecież równie ważny dla człowieka, jak sen. „Pasztety, do boju!” zgrabnie łączy dynamizm ze slow motion. Z jednej strony akcja pędzi. Za sprawą Mała (Igor Chmielnik), jego dziewczyny – Księżniczki (Magdalena Płaneta), czy Helene, vlogerki (również Magdalena Płaneta) jest gwałtownie, brutalnie, na wskroś współcześnie i bezrefleksyjnie. Z kolei charakterna, zadziorna Mireille (Karolina Gwóźdź), nadaje ton i tempo

działaniom tytułowych Pasztetów, które wypełniają scenę młodzieńczą energią. Szczególnie szalona wydaje się Astrid (Agata Grobel), pozytywnie zakręcona na punkcie zespołu Indochine, jest książkowym przykładem nastoletniej fanki, która skacze, piszczy i nie pierze koszulki z autografem, bo byłaby to profanacja świętości. Hakima (Natalia Maczyta-Cokan/Joanna Kowalska) jest bardziej wycofana, nieśmiała, ale w trakcie podróży odnajduje w sobie pokłady siły i determinacji wzbudzając podziw przyjaciółek. Hakima jest jednocześnie postacią, która czasem stopuje, wspomniany wcześniej przeze mnie, pęd. Podobnie, jak jej brat – Kader (Wojciech Marcinkowski), który jest najbardziej tragiczną postacią spektaklu, a jednocześnie pełni rolę Atlasa, dźwigającego na barkach szaleństwa siostry i jej przyjaciółek.

Igor Chmielnik, Magdalena Płaneta i Wojciech Marcinkowski grają w spektaklu kilka różnych ról. Malo zmienia się w filozofa, tatę Hakimy, ojca Mireille, dziennikarza. Księżniczka w Helene, matkę Hakimy, potem w matkę Mireille. Kader w sprzedawcę pasztecików, kolegę Mała, asystenta Helene... Ilość szybkich zmian ról i postaci jest zatrważająca, co może wydawać się dezorientujące. Jednak przez wykorzystanie prostych środków (np. symboliczne zmiany kostiumowe), widz nie powinien poczuć się zagubiony w odbiorze. Jest to również zasługą warsztatu i doświadczenia słupskich aktorów, którzy bez wytchnienia wchodzą w kolejne, przeznaczone im skóry.

Scenografia, autorstwa Marianny Lisieckiej-Syski, aranżacje muzyczne Grzegorza Bieńki, projekcje Olka Burczyka, muzyka Nataszy Sołtano-

-wicz (jednocześnie reżyserki) – wszystkie te elementy dają efekt: szybko, głośno, barwnie, czyli to, co młodzież lubi najbardziej. Jednocześnie, wykorzystany w paru momentach, efekt slow motion pozwala wybrzmieć ciszy i refleksji. To, co zwróciło moją szczególną uwagę, to sposób ukazania dwóch, przenikających się rzeczywistości. Materiał, rozciągnięty na stelażu po prawej stronie sceny służy do pokazywania projekcji, które wizualizują to, co dzieje się na forach, Instagramie, Facebooku, ekranie komórki, czy komputera. Dzięki temu widz śledzi internetowe przepychanki, a jednocześnie emocje, które one wywołują w postaciach. W profilaktyce przeciw hejtowi jest to niezwykle ważny aspekt – po drugiej stronie internetowych łączy jest drugi człowiek, który przeżywa.

Ostatnie dni przed premierą były dla całego zespołu Nowego Teatru i jego gości, niezwykle trudne. Musieliśmy zmierzyć się z zupełnie zaskakującymi sytuacjami i dostosować się do bardzo dynamicznych i radykalnych zmian. Tragiczna kontuzja, jakiej uległa jedna z aktorek (grająca postać Hakimy, Natalia Maczyta-Cokan), potwierdziła tezę, że teatr jest, jak żywy organizm, który również ma swoje ograniczenia, a jednocześnie, w ostatecznym rozrachunku, udowodniła, że Freddy Mercury, kiedyś jednak zaklął rzeczywistość swoim kategorycznym „Show must go on”.

Napisanie recenzji spektaklu, w którym zastępstwo za jedną z głównych aktorek, zrobiono w nieco ponad dobę, nie mówiąc już o ładunku emocjonalnym, jaki wytworzyła ta sytuacja, jest zadaniem wyjątkowo niewdzięcznym. Nie jest to więc recenzja. Było-

by to nieuczciwe wobec twórców, którzy poświęcili miesiące wytężonej pracy na zbudowanie bardzo skomplikowanego pod względem technicznym i artystycznym, spektaklu, w którym, biorąc pod uwagę okoliczności, mogło coś nie wyjść, a nawet więcej – miało do tego pełne prawo. Jednakże owacje na stojąco i niezwykle pozytywny oddźwięk publiczności, dał twórcom poczucie, że ich praca, wytrzymałość, odwaga, umiejętność odnalezienia się w warunkach skrajnych, nie poszły na marne.

Szczególne wyrazy uznania należą się na pewno Natalii Maczecie-Cokan (Hakimie), która pomimo kontuzji i bólu z nią związanego (tak fizycznego, jak i emocjonalnego), zagrała na scenie, wykazując się postawą wręcz heroiczną. Zrobiła to wspólnie z Joanną Kowalską, która przejęła na siebie większą część zadania, udowadniając tym samym, że człowiek jest istotą zaiste fascynującą. Wiemy o sobie tyle, na ile nas sprawdzono, ale nieustannie przekraczamy swoje własne granice, bariery i zawsze dzięki temu tworzymy coś pięknego. Joanna Kowalska wyszła poza sztywne ramy ról, jakie pełniła do tej pory (zaadaptowała

fot. Kamila Rauf-Guzińska



książkę „Pasztety, do boju!” Clémentine Beauvais na potrzeby sceny, była dramaturgiem i autorką tekstów piosenek), biorąc na siebie większą część zadania aktorskiego. Nie ukrywajmy, że tylko dzięki jej postawie i decyzji, Nowy Teatr im. Witkacego w Słupsku, mógł jednak zaprosić widzów na premierę 14 grudnia 2019 roku. Jednakże trudno byłoby jej osiągnąć taki efekt, gdyby nie nieocenione wsparcie całego zespołu aktorskiego, który błyskawicznie przystosował się do okoliczności i pomógł jej udźwignąć to wyzwanie.

Teatr tworzą ludzie i jest to podstawa do zrozumienia istoty sztuki scenicznej. Mobilizacja w obliczu zaistniałej okoliczności, udowodniła po raz kolejny, że jeśli nie wykażemy się odrobiną dobrej woli, bądź czułości, niczego dobrego nie osiągniemy. Jednocześnie, wewnętrznie czuję smutek, ponieważ po raz kolejny przekonałam się, że pędząc do przodu gdzieś zgubiliśmy sens człowieczeństwa, nad które przedłożyliśmy monetę. Warto byłoby zastanowić się nad zmianą przepisów prawnych, które uwzględnią czynnik ludzki, dzięki czemu nie trzeba będzie stawiać człowieka na skraju, co w efekcie może doprowadzić do nieodwracalnych traum i urazów.

TEATR ZACZYNA SIĘ OD SZATNI

AUTOR MAGDALENA PŁANETA

„Teatr zaczyna się od szatni”, tak miał w zwyczaju mawiać mój, śp. już, przyjaciel, który był człowiekiem starej daty, w najlepszym znaczeniu tego słowa. Przedkładałam to założenie na początku naszej przygody czytelniku, by wyjaśnić, czym będzie zajmować się, podpisana niżej, w tej części gazety.

Nic mnie tak nie denerwuje, jak deptanie i unieważnianie dobrych zasad, tradycji i etyki w teatrze – zarówno ze strony pracowników, twórców, ale i naszych znakomitych widzów. Może dobrze by było, abyśmy zatrzymali się i podumali czasem, mimo pędzącego wciąż do przodu świata, nad tym, co sprawia, że czujemy się ludźmi kultury i sztuki. „Od szatni”, to też od kuchni, od środka, od kulis, od początku. Zapewniam Cię czytelniku, że będę nie tylko ożywiać tradycje i zrządzić w duchu jej poszanowania, ale będę też wyjawiać tajemnice i ploteczki o etyce pracy w artystycznej rzeczywistości. Świat teatru jest naprawdę ogromny, więc sporo jest do omówienia i z różnych stron te kwestie będziemy rozpatrywać. Dziś o szatni właśnie.

Kiedyś wyprawa do teatru wiązała się z dobraniem odpowiedniej garderoby, toalety były staranne, a atmosfera odświętności, zaznaczona również strojem, czyniła wieczór wyjątkowym. Kiedyś nie do pomyslenia było, by przyjść do teatru w codziennym ubraniu – dziś często się to widuje. Zdradzę Ci czytelniku sekret: mimo, że dla mnie teatr jest co-

dziennością, bo w nim pracuję, za każdym razem gdy idę na spektakl, w którym nie gram, ubieram się nieco „odświętnie” i to nie tylko wtedy, gdy jest to wieczór premierowy. Oczywiście nie są to pióra i wieczorowe kreacje, jak niegdyś, ale bluzka (nie t-shirt) wyprasowana, buty wypastowane, jakiś element biżuterii, lepsze perfumy... Dziś byś powiedział – taki dress code. Po co, to wszystko? Ano po to, by okazać kolegom aktorom szacunek do ich pracy, ale też dla siebie, by zaznaczyć, że teraz oto obcuję ze sztuką, jako jej koneser, jestem człowiekiem kultury i kulturalnym oraz, przede wszystkim, by poczuć się odświętnie. W moim bowiem przekonaniu, szanowny, drogi czytelniku, teatralne spotkania powinny zawsze być świętem, gdyż chodząc do teatru karmimy tę najistotniejszą część naszego człowieczeństwa... Ale o tym w następnym felietonie.



Kochani widzowie!

Z okazji zbliżających się **Świąt Bożego Narodzenia oraz Nowego Roku**, Nowy Teatr im. Witkacego w Słupsku chciałby życzyć Wam, abyście spędzili ten wyjątkowy czas w szczęściu i spokoju. Aby wszelkie troski odeszły w cień, schowały głęboko w kulisach, a na pierwszy plan wysunęły się jedynie pozytywne przeżycia. Aby każdy z naszych widzów, w nadchodzącym, pełnym wrażeń roku 2020, mógł z pełnym przekonaniem, za Wyspiańskim, powiedzieć:

Teatr mój widzę ogromny,
wielkie powietrzne przestrzenie,
ludzie je pełnią i cienie,
ja jestem grze ich przytomny.

Ich sztuka jest sztuką moją,
melodię słyszę chóralną,
jak rosną w burzę nawalną,
w gromy i wichry się zbroją.



Duża i Mała Scena oraz Kasa Teatru: Słupsk, ul. Jana Pawła II 3
 Administracja Teatru: Słupsk, ul. Lutosławskiego 1, tel. 59 846 70 00
 Kasa/rezerwacje: tel. 59 846 70 13, poniedziałek - piątek: godz. 8.00 - 16.00
 oraz dwie godziny przed spektaklem

REDAKCJA: Alicja Syta, Kamila Rauf-Guzińska
 SKŁAD: Kamila Rauf-Guzińska
 WYDAWCA: Nowy Teatr im. Witkacego w Słupsku